

Parostatek

Co byście zrobili, gdybyście dostali tysiąc słów? Oczywiście ładnie zapakowanych, świeżych i pachnących, a jednak ostatnich. Na co byście je przeznaczyli? Jak szybko wypowiadali? Bardziej odłożyli na później czy chapnęli jako posiłek z tematów bieżących? A może trzymali do śmierci i już nikomu nigdy nic? Ulga czy w przełyku wulkan?

Od razu mówię, że kupować i zabierać nie wolno. I dzielić też nie. Jeżeli ktoś wymyślił „parostatek”, to może popłynąć tylko pełną parą. A nie że go rozbije i wykorzysta na dwa razy, że: „młoda paro, wejdz na statek”. Takich piłowanych sztuczek to nie. A poza tym młode pary w ujęciach często kończą za burtą albo na bez ludu wyspach, więc oszczędźmy kolejnych tragedii. Korzystając już z roli chwilowego konesera kina i krytyka-artysty, nie mogę nie wspomnieć o filmie, który w sposób wręcz brutalny chce ingerować w naszą tu intymną demagogię. I żeby było jasne, jest to częściowy przypadek. Wiedziałem bowiem, że pan Eddie Murphy miał w pewnym swoim świecie drzewo, które ronilo liście z każdym jego wygryzionym jak cegła słowem, ale że musiało to być akurat tysiąc słów – a potem kaput? Skoro los aż tak bardzo nas ze sobą spotkał w tej frazie, nie możemy tego zostawić bez komentarza.

Jak mówi Filmweb, „Jack McCall (Eddie Murphy) jest agentem w wydawnictwie literackim, żyjącym w kłamstwie, przebiegłości i wyrafinowaniu”. Z tego miłego opisu wynika, że Jack mógłby całkiem sprawnie poruszać się po wielu zawodach, korytarzach i kto wie jakie nominacje zdobywać. A jednak figlarna natura mu nie popuszcza.

Tu, po namyśle krótkim, nastąpiła przerwa na film.

I faktycznie, Jack rozsiewa słowa, nie zważając na ich dalsze pląsy i zaczepki. Pozostaje wierny powierzchownej pierwotności formy, nie zadając sobie trudu szukania przyczyn. Jego zdaniem wystarczy przeczytać pierwszych pięć stron książki i pięć ostatnich, by wiedzieć, czy odpowie na rynkowy głód. Czy celnie wpadnie w pospolite tryby rozumienia. Stara się przy tym przekrzyknąć świat, co przy różnej rozwartości zdarzyło się pewnie większości z nas. Porywisty puls przyciąga drzewo, które, niczym to kartezjańskie, zaprasza bohatera do podróży do korzeni, na granice zrozumienia, odczucia, własnego języka.

Ostatnio usłyszałem w radiu, że przynajmniej raz dziennie warto zatrzymać się, wziąć oddech i zorientować, w jakim jest się miejscu. Poszukać wewnętrznej ciszy. I chyba jest to warte uwagi, bo w innym wypadku nasze biegające ze skakankami małe momenty będą masowo ginąć pod rozpadzionymi kołami hałaśliwej pilności spraw.

Zanim jednak zaczniemy cytować Dalajlamę, rozprawmy się do końca z Jackiem. Chociaż... w zasadzie to już może każdy sobie sam...? Z filmem lub bez, na serio lub mniej, jak kto chce. W końcu w życiu podobno chodzi o to, by szukać własnej wygody.

Ja w tym miejscu mogę tylko dodać, że wspomniane przebiegłość i wyrafinowanie mogą być dla wszelakich istot literackich ostatnim kołem, chciałoby się rzec, rachunkowym. W zeszłym roku dowiedzieliśmy się, że przez ostatnie 12 miesięcy 56% Polaków nie zdobyło się na przeczytanie żadnej książki. Mnie szczególnie mrozi sytuacja poezji, która wydawałaby się daniem trafionym, w sam raz na dzisiaj, typu instant. A tu nadal omijana, jakby miała łaćńskie przecinki w gębach mordować. No ludzie! Przecież to kwintesencja – tak na oko to lekko i z 15, i z 50 stron ubranych w jedną. Jedną zwrotkę, w sensie strofę, rzecz jasna. I mimo że w ostatnim czasie „róża przez otwarte wpadła okno” do wielu domów i samochodów za sprawą chyba już księżniczki polskiego popu, to my nadal na bakier z tym poetyckim bytem. Choć i on poluje, bierze co swoje. Spragniony niedomyślnych ust sływa duchem niespodzianie, nawet na młodo księżęce hip-hopowe ścieżki spotykane „w innym lesie, w innym sadzie...”. Szuka coraz to nowych sposobów, by za posady nas wytarmosić i sprawić, by na chwilę inaczej zaszumił nam las. Już nawet Gombrowicz w tym miejscu mógłby rzucić kawałek białej serwetki z napisem: „Pijcie, śmiertelnicy... chociaż ten nektar!”.

Słowa... ostatnie...

A jakby je tak komuś oddać... przekazać dobroczynnie w imię wyższej użyteczności. Tylko komu? Wujkowi, temu od kawałów – może on zbawi czas? Prezydentowi – tylko któremu? Pani od pieska, która zawsze mówi „dzień dobry” – niech mówi dłużej... A może tej jednej osobie, od której chcielibyśmy tak wiele usłyszeć, a która milczy, mówiąc?

Co jeżeli bezpieczniej jest wspiąć się na balkon Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i rozrzuć słowa na wietrze, wokół placu Zamkowego? Może będą wiedziały, gdzie lecieć i jak upadać, by nikogo nie zranić?

Ten tekst miał być o autorytecie, a wszedł w obecność. Obecność pograżoną w wielkiej niewiadomej ludzkich zamiarów. Ocierającą się o nas, a jednak ciągle gdzieś szybującą.

Niezaprzeczalni wielcy bohaterowie niosą nasze dni i epoki, jednak z pędem własnych pomników. I im dajmy w końcu odetchnąć! Przeciągani linami taranują tych, którzy mieli być dla wszystkich, a zostali skazani przez niektórych. Jeżeli głowy zbyt długą są wpatrzone w brukowane ulice, zaczynają zastępować ich utwierdzone w podziale szkielety.

Historią nieznośną może być również zgrzyt przez zapatrzenie. Gnane niczym hart wystrzelony za smakołykiem, przebrany w królicze uszy. Nieskalany tylko we własnym okręgu. Coś na kształt treningu przywołania, w którym czworonoga uczy się komendy

powracania w coraz trudniejszych warunkach. Ma dzięki temu mieć więcej komfortu, możliwości odejścia dalej. Przy zaszytej subordynacji.

Dlatego pytam...

Komu ufać? Jak budować?

Jak całować, kiedy pada?

Może czerpać po okruchu z pierwiastków osobowości. Z kątów, zakątków, pałaców i bram. Gustownie pochłaniać nawet z pieca trudnego, który w nocy nie szczędzi duchom żarzących podmuchów. Może i on ma coś do przekazania? Ale i kategorycznie się nie zgadzać. Na to, nie szczędzić słów!

Lepić trochę dla zabawy, trochę z przypadku, trochę z rodzonego przyzwyczajenia. Być nieprzeciętnym – treściwie niepozornym. Całować w pełni, w deszczu... najśmielej!

Czy to się uda, może wiedzieć ziemia, choć nie musi. Jest już dostatecznie pokręcona. Może kosmos... Chociaż on ciągle w jakiejś czarnej dziurze. Pewnie i my tam kiedyś trafimy, ubrani w nienadane nam jeszcze zorze, niespotkane dłonie i pragnienia, nieprzewidziani. Wszyscy nabrani przez los... w ten sam sposób.

Zastanawiam się, czy łatwiej jest dawać, czy otrzymywać. Pewnie wszystko zależy od intencji, wtedy szata nie ma już znaczenia.

Ja na napisanie tego tekstu dostałem tysiąc słów, które teraz przekazuję do Was. Mam tylko nadzieję, że nie są to jeszcze moje słowa ostatnie...



Jacek Bodzak, *Miasto budzi się...*